

Mieszko Zieliński

część I z II

Sygnatura notacji: **N0332**

Data urodzenia: **23.08.1966 r.**

Data nagrania: **24.10.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 56 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Mieszko Zieliński: Dzień dobry. Nazywam się Mieszko Zieliński, jestem synem Ryszarda i Danuty Zielińskich. Pochodzę ze szlacheckiej rodziny polskiej z dużymi tradycjami powstańczymi, wysiedleńczymi. Powstanie Styczniowe, Jakaś taka pamiątka została. Ponadto tata był od zawsze, jak tylko Solidarność powstała, był w Solidarności, gdzie zresztą zachowała się flaga ze strajku wytwórni Solidarności, którą później, w okresie wyborczym przyczepiałem do maski samochodu, którym jeździłem w wyborach w 1989 roku. Mama pracowała w Pol-serwisie, tata pracował w Wytwórni Filmów Dokumentalnych wtedy, nie było jeszcze Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, także tylko było WFD. Był głównym dysponentem. W trakcie lat 80-81 bywałem tutaj na tajnych, bo nie można było oficjalnie pokazywać na pokazach, filmów: „Robotnicy”, „Człowiek z żelaza”, „Człowiek z marmuru”. Zresztą wiemy, że te kopie później zostały schowane na czas stanu wojennego. Także przygotowanie miałem patriotyczne, katolickie i w takim duchu dorastałem, dojrzewałem – należy innym pomagać, dbać o dobro i dbać o innych. O moje podłoże historyczne dbał bardzo mój brat Mariusz Zbigniew Zieliński, jego konikiem była historia. Był historykiem i wszystkie prawdy mi przekazywał, z czym miałem problem w szkole podstawowej na lekcjach historii i kiedy nauczyciele chcieli wiedzieć, znać źródła skąd ja to co mówię wiem. No to oczywiście wiadomo, że Wydawnictwa Londyńskie nie były brane pod uwagę, nie można było o tym mówić. A proszę powiedzieć, jaka była różnica wieku między Panami, jak się urodziliście? Różnica wieku między nami była 11 lat. Jest to znaczna różnica, natomiast na tyle duża, że mógł być dla mnie autorytetem i osobą, która już przeżyła jakoś życie. Już był dorosły, jak ja zaczynałem wchodzić... Natomiast sprawa była o tyle dziwne, że ja poznałem te kręgi podziemne i Grup Specjalnych wcześniej niż on. Taka śmieszna sprawa. Ja po prostu zacząłem trenować karate i w momencie, kiedy w ogóle ten sport nie był popularny, bo nie było, nie znało się tego tu w Polsce, po pierwszym kontakcie z Andrzejem Niedkiem. Było już chyba w 1980 roku. Ponieważ

bywałem częstym, a w zasadzie niemalże codziennym gościem w Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania, byłem najmłodszym członkiem. To były dwie organizacje w 1981 roku, które nigdy nie były zarejestrowane. To był KPN i Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. Tam kolportowałem wydawnictwo „Sumienie” i współpracowałem cały czas z Komitetem Obrony Więzionych za Przekonania. W międzyczasie została powołana taka organizacja „Kraj”. To było po wydarzeniach, po pobiciu Rulewskiego, kiedy wszyscy sobie zdali sprawy, że w zasadzie nawet w sądzie można kogoś pobić, prawda, w majestacie prawa. Źle to brzmi – w majestacie prawa – ale tak. W związku z czym wiedzieliśmy, że trzeba być przygotowanym na to, żeby dać odpór. A ponieważ ja już trenowałem, w związku z czym jakoś to tam powstawało, ten związek „Kraj”. Tak do końca tylko on powstawał po to, żeby chronić manifestacje, demonstracje, które miały być. Oczywiście 13 grudnia myślę, że zaskoczył wszystkich i specjalnie kontaktów nie było już w tym kierunku. Te kontakty później się łąpało prywatnie gdzieś, przecież nie było komórek. Telefony były wyłączone. A moje kontakty z Alkiem, z Andrzejem Niedkiem były. I dlatego trzeba było zrzeszać ludzi, którzy trenowali, którzy byli wysportowani, którzy się nie bali. I tak powstało pierwsze grono wokół mnie ludzi, moich kolegów ze szkoły, którzy trenowali, bo tak takich selekcionowałem. Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego zaczynałem dobierać ludzi, którzy są w takim samym kręgu zainteresowań historycznych jak ja. Bo osoby obojętne mnie nie interesowały. To znaczyło, że dla nich Polska nic nie znaczy. Na podstawie, po wprowadzeniu stanu wojennego dokonywałem dalszej selekcji. Ja oczywiście wchodziłem głębiej, ja musiałem być u każdego w mieszkaniu. Musiałem wiedzieć, czym zajmują się ich rodzice, żeby nie zaproponować czegośkolwiek, jakiegokolwiek działalności człowiekowi, którego któregoś z rodziców pracuje w dziwnym resorcie albo dziwne rzeczy robi gdzieś. Dlatego ja się przygotowywałem do tego. Chciałem stworzyć grupę ludzi, którzy są, dla których Polska jest tak samo ważna, jak dla mnie. I od samego początku nie mogliśmy się z tym pogodzić, ze stanem wojennym, trzeba było coś robić.

Artur Kłus: W 1981 roku ile ma pan lat? Jestem 1966 rok. 16 rok. Niech Pan powie, jaka była wówczas ta relacja, na samym początku, gdy powstawała wówczas grupa Andrzeja Niedka, tak?

Mieszko Zieliński: Andrzej Niedek był wtedy trenerem tylko, był człowiekiem... nie byłem w żadnej organizacji wtedy. Dopiero okazało się dopiero w 1981, a w zasadzie 1982, bo po wprowadzeniu stanu wojennego, dopiero jak żeśmy się z powrotem skrzyknęli, okazało się, że są to Grupy Specjalne RKW. Grupy Specjalne bardzo mi odpowiadała, imponowała ta nazwa. Dlatego też taki specjalny dobór osób współpracujących ze mną. Ale zanim jeszcze były te Grupy Specjalne, no to my już zaczęliśmy robić w technikum samochodowym, do którego chodziłem nr 3 przy ulicy Włociańskiej, zaczęliśmy robić jakieś pieczątki, własne ulotki. Sam napis Solidarność na pieczętce odbijany świadczył o tym, że wśród tej młodzieży, na tych korytarzach ten duch jest. Oczywiście powodowało to wściekłość również i dyrekcji. A ponieważ znane były moje poglądy sprzed wprowadzenia stanu wojennego, to jak była przerwa dwutygodniowa i po tej przerwie przyszliśmy pierwszy dzień do szkoły, na pierwsze zajęcia. Pamiętam, był wtedy, mieliśmy przesuniętą o dwa tygodnie klasówkę z rysunku technicznego. Klasówkę, taki sprawdzian. Zadzwoił telefon. Ja sobie zażartowałem takim dowcipem Andrzeja Rosiewicza „to chyba po mnie”. Ale nie pomyliłem się, to było po mnie. Pierwsza godzina po stanie wojennym, po wprowadzeniu, ja jestem na zajęciach w szkole i jestem wzywany do wychowawcy. Wychowawca, bardzo chętnie powiem, nazywał się Ryszard Załuski. Pozdrawiam jeśli będzie tego kiedyś słuchał, bardzo bym chciał. To był człowiek, który proponował mi donoszenie na moich kolegów. Straszyl mnie, że nie będę mógł zdać matury i że będę zniszczony. Najpierw proponował mi, wiedząc, że „wiem,

że przecież te różne pisemka przynosisz...”, przynosiłem „Sumiennie”, „...w związku z czym na pewno masz kontakty. Nie mówię, żebyś od razu mówił kto, ale jakbyś mógł powiedzieć, pamiętać to podawaj. A w ogóle to zwróć uwagę, bardzo proszę na swoich kolegów...” I ta rozmowa toczyła się dalej w takim duchu, że oczywiście mówiłem, że „nie, że nie znam, nie wiem, nie interesuje mnie”. I finał tego był taki, że zaczął na mnie krzyczeć, mówić, że nie skończę szkoły, że mnie wywali, że nie mam szans w technikum. Ja przyznam, że do technikum wtedy było trudniej się dostać do samochodówki niż do ogólniaka, że wylecę do zawodówki, że o maturze to w ogóle mam zapomnieć. Kazał mi podpisać lojalkę. Powiedziałem, że nie podpiszę. Lojalkę w sensie, że będę, że jak tylko coś będę wiedział, że któryś z moich kolegów czy cokolwiek robi na terenie szkoły, że przyjdę i jego poinformuję. Powiedziałem, że nie zrobię tego. Pierwsza klasa szkoły średniej, nauczyciel, wychowawca. I na koniec powiedział, żebym podpisał in blanco papier na dole. No i nie zrobiłem tego. Później mówiłem moim znajomym, wszystkim, oczywiście powiedziałem, że mi proponował współpracę. Mówię: „ciekawe, czy Wam również?”. I który z Was na to przystał?”. Bo skoro mi proponował, to na pewno też i innym. Tylko mnie wyzwiał w trybie natychmiastowym, żeby uprzedzić. Także tak mi się zaczął stan wojenny w szkole. Tym bardziej mnie to motywowało jednak do bardziej konkretnych działań. No bo jeśli ma się opaskę ze strajku Solidarności, ojca, jeśli ma się takie flagi w domu, jeśli ma się takie książki, no to tradycje rodzinne, które trzeba pielęgnować i pamiętać o tym. Po latach usłyszałem od młodego człowieka, teraz niedawno, że po co te powstania były? Mówię: „właśnie po to”. „Bo wszystkie były przegrane” on twierdzi. Ja mówię: „to po co ja to robiłem?”. By mógł teraz tego się uczyć i rozmawiać o tym. Ponieważ zawsze mnie interesowała fotografia, a moi koledzy okazuje się, że byli w tym dobrzy, w związku z czym stwierdziłem, że zresztą za namową mojego brata, który jak się okazuje, wszedł już do Grupy Grochowskiej pod koniec 1981 roku, a ja miałem, mając kontakty z Niedkiem. Mieliśmy treningi, na początku, w stanie wojennym było bardzo trudno, dlatego że nie można było nic trenować. Nigdzie. Moje treningi w ramach TKKF, za Żelazną Bramą, które Drewniak prowadził przed stanem wojennym, przestały istnieć. Wprowadzono bratnie sztuki walki, gdzie w zasadzie bez kontaktów to było. I wtedy za namową brata jednak powiedziałem dobrze, ok. Powiedział: „słuchajcie, jeśli robicie fotografię, jeśli jesteście tak wysportowani i dacie radę się przemieszczać, to róbcie, dokumentujcie to, co trzeba”. I to był rzeczywiście jego pomysł. W związku z czym, ponieważ miałem swoją Grupę, stwierdziłem, że nie mogę tego nazwać Solidarni, bo to tak, był już 1982 rok, Solidarni, bo to by bardzo ukierunkowywało na bardzo wąską grupę ludzi. Nazwałem to Foto-Agencja Solidarność. Tak jak wszyscy, wszędzie pokazywali Solidarność, było symbolem tym właśnie zakazanym ale to w zasadzie wiadomo, że hasło Solidarność świadczy o wolności. I robiliśmy te zdjęcia. Te zdjęcia, które tutaj mam, czyli z manifestacji. To jest bardzo fajne zdjęcie. Czyli Leszek Popiołek sprowokował zomowca, wyszedł daleko przed wszystkich ludzi po to, żeby on spróbował jego złapać. Zrobił zdjęcie i się wycofał. Jak również zanotował moment wyciągania z tłumu przez ubeków kogoś, człowieka, uczestnika. Zdjęcia pochodzą z...? Zdjęcia pochodzą z mojego archiwum. To są zdjęcia robione przez chłopaków ode mnie, czyli z mojej Grupy: Jerzego Szymańskiego i Leszka Popiołka. To obrazuje jakie były tłumy ludzi wtedy. To wydarzenie z którego roku, jakiej daty? To jest 3 maja, 1982 rok, miejsce pod Katedrą jesteśmy. W ramach pracy i Grup Specjalnych trzeba było wykonywać również prace zarobkowe. Prace zarobkowe, które były po to potrzebne, aby móc finansować. Nie było papieru wtedy. Każdy papier, który gdzieś był w zakładach pracy był bardzo pożądany. Do druku książek, do druku ulotek, do druku słowa pisanego, które by trafiło do ludzi, za to trzeba było płacić. Trzeba było przekupywać innych, dozorców, ludzi, którzy tym zarządzali, żeby można było drukować te rzeczy. Ja robiłem takie znaczki. To jest też rok 1982. Znaczki są ręcznie robione, one są przypinane. Dostałem olbrzymie torby, wtedy była moda na noszenie dużych

toreb. Moda była celowa. Wszyscy chodzili z dużymi torbami. Wszyscy chodzili z dużymi torbami po to, żeby można było nosić różne rzeczy, żeby UB-ecja zwariowała, że jeśli ktoś idzie jeden z wielką torbą, to należy go przeszu-kać. Nie, wszyscy nosili duże torby. „Jamniki” były tak zwane modne. Te znaczki, każdy ma inny rozmiar, wymiar, dlatego, że do tego plastiku, te metalowe sprzączki, agrałki były przyklepione. One były jakkolwiek, ja to miałem mnóstwo. Musiałem na szlifierce w domu, 3,70 wysokim, książki po sam sufit, na szlifierce od ulicy Marszałkowskiej, bo tam jest gorąco, szlifować latem. Po to, żeby ten znaczek miał kształt znaczka. One często ten plastik był powygi-nany, to były jakieś odpady, odrzuty. Przyklejałem naklejki, szlifowałem po to, żeby te znaczki można było sprzeda-wać później i za pieniądze kupować papier, pozyskiwać papier. Papier, farby. No farby wiadomo, się robiło. Na uli-cy Grenadierów, tam gdzie mieszkalem, później gdzie mieszkał mój brat, Grenadierów 67/69, mieszkania 32. To jest bardzo ważny adres, dlatego, że tam w stanie wojennym był powielacz. Dla osób, które znają tę pracę, powiem, że jest to czwarte piętro. Czwarte piętro w bloku czteropiętrowym. Wniesienie tej maszyny, no i praca na niej, ten odgłos, to to wszystko się niesie. Jeszcze proszę wiedzieć, że w tym samym budynku, w ciągu dalej, dwa numery dalej jest komisariat policji. To jest też istotne, ponieważ tam się niebawem znalazłem. Także bardzo duże zdziwienie było mojego brata jak Andrzej Nidek „Alek” przyszedł odebrać ten powielacz, po pracy, a my się znaliśmy. Mój brat nie wiedział, że ja już jestem od początku, moim zdaniem z szefem. Bo Teoś był był takim dla mnie trochę bardzo oficjalnym, teoretycznym szefem. Szefem od Grup był Alek i on ustawiał te nasze działania. A skąd się wziął? Powie-lacz, to myślę, że to już były kontakty Mariusza. Nie wiem czy też nie Piotrek Rzewuski, Czy to już nie były te... Tak, tak, to już była ta Grupa Grochowska. A ja trzymałem się Niedka, a później była Grupa Grochowska. Dostoczyłem do Grupy Grochowskiej, ponieważ miałem już swoją Grupę. Ja i 7 chłopaków byliśmy. I 6, bo 1, śmieszna sprawa, bo UB-ecja niszczyła takie lotne uniwersytety, czyli spotkania studentów z wykładowcami. Tam wpadała grupa mło-dych chłopców, którzy po prostu bili tych studentów. Oni często nie do końca wiedzieli, kogo biją. Wiedzieli, że tak dla zabawy mają. To były grupy nie wiem, czy nie od Palacza, czy Drewniaka, drugiego Drewniaka, który z rzędem miał tam współpracę. Tam był Jan Dziedzianowicz, chłopak, który był później u mnie. Jest tu gdzieś na zdjęciach. Janek Dziedzianowicz, pseudonim miał tam w tej grupie karateków „Beton”. A później był u mnie. Także z przyjem-nością robiliśmy to w drugą stronę, jak chłopcy chcieli bić, to my też potrafililiśmy. Otrzymywałem pytania do tej pory, nigdy na to nie odpowiadałem. To jest pierwszy raz – czy była broń? Tak, była. Nigdy w żadnym wywiadzie do tej pory tego nie powiedziałem. Była i się przygotowywaliśmy do tego typu działań. To, że były osoby w Grupach, któ-re tego nie chciały, moim zdaniem to są osoby, które teraz wiadomo dlaczego nie chciały. Pierwszą osobą, która starała się, żeby jakby, nie wiem dlaczego, zminimalizować nasze działania, to był chyba ten, czyli Zbyszek Bujak, który zmienił nam nazwę w 1985 roku z Grup Specjalnych, bo to źle brzmiało, na Grupę Oporu. Oczywiście dzia-łalność Tadeusza Kotarskiego też była odpowiednia, żeby „nie”. Natomiast Mariusz, mój brat, były spotkania z bro-nią. Miał parabellum oczywiście, bo to było takie modne i były również inne. W 1982 roku zostałem aresztowany. Wracając ze szkoły, wchodząc na czwarte piętro na Grenadierów stało dwóch panów. To było lato, strasznie upo-conych, na czwartym piętrze. Tam strasznie słońce operowało. Panowie byli tak szeroko, z takimi kłamkami. Jak wszedłem, z tej szkoły, to poprosili, pytali mnie, czy ja tutaj mieszkam, czy tu mieszka Mariusz Zieliński? Mówię: „tak”. „A czy możemy wejść?”. Powiedziałem: „nie”. Nie wiem dlaczego tak młody człowiek miał takie dobre podejście, przygotowanie, że „nie”. Wiadomo było, po co oni przyszli. Nie wiadomo było, nie wiedziałem, co tu mogę zrobić. Nic nie mogłem zrobić. Oni tu siedzą. Świećlica czekała na dole, to znaczy więźniarka, tak. Jak Mariusz przyszedł do domu, jak jego żona, Daga przyszła. Zostaliśmy, oni weszli, oczywiście zostaliśmy aresztowani. Krzyczeli, że bę-

dzie posadzka zrywana, nie poznamy mieszkania, wszystko będzie skute. Zostaliśmy wyprowadzeni. To właśnie na Grenadierów obok, do komisariatu i przetrzymywany byłem, muszę powiedzieć, nielegalnie, bo byłem nieletni. Byłem nielegalnie zatrzymany. Swoją drogą ciekaw jestem, czy jest jakiś ślad tego zatrzymania, mojej osoby, bo Mariusza i jego żony na pewno. Byliśmy przewiezieni na komisariat na ulicę Malczewskiego, gdzie Mariusz był wstępnie bity, żona była duszona jego, w sposób oczywiście umiejętny. Ja miałem dwóch panów, to chyba wszyscy tak mieli wtedy, którzy... Jeden był dobry, drugi był zły. Także jeden mówił: „słuchaj, uspokój się, wszystko będzie dobrze, wszystko...”. Wchodził drugi, ten brał Express, czy czytał coś tam, czy przeglądał, drugi wchodził i „Ty Kur* a twoja mać, jak Ci zaraz tu, tego, to Ty zapamiętasz nas”. No, to były rozmowy tego typu, że wiedziałem, że jestem na drugim piętrze i że dam sobie radę, bo skakałem, bo potrafiłem takie rzeczy, tylko pomyślałem sobie, że to nic nie zmieni. Przecież oni wszystko wiedzą, gdzie ja mieszkam, jak się nazywam, to to nic nie zmieni. Przy czym ten zły później wziął ten i „zobacz, znowu, widzisz znowu wyłowili z Wisły, widzisz, nie wiadomo kto. Nieznani sprawcy”. No i takie rozmowy były. On: „aha, no tak się...”. Się okazuje, większości to mówili, to samo, ten sam tekst. Ja byłem nielegalnie przetrzymywany. W międzyczasie wprowadzono oddział ZOMO. To chyba oni poprosili, bo coś słyszałem, bo były drzwi otwarte i ten oddział wszedł z tymi pałami długimi i zaczęli tak walić w tą lamperię z tej farby olejnej. To były takie odgłosy. I ci: „no i co? Zaraz będziesz miał ścieżkę zdrowia, zobaczysz. Chłopaki, weźmiecie go?”. Otwarte drzwi, także... Także to tak. No oczywiście miałem powiedzieć skąd broń, jak? A, to chodziło oczywiście o broń, o pistolet FN. To był mój błąd, bo przyjąłem chłopaka, którego nie znałem z domu. Chciałem go wprowadzić, on nie znał nikogo, na szczęście. To był człowiek, który chodził ze mną na lekcje religii, bo lekcje religii się odbywały w kościele, w kościołach, na Placu Zbawiciela. To był przyjezdny do Warszawy, chłop, mieszkał w akademiku. No i zawsze takie rozmowy, żeby pozyskać, się prowadziło: „no to słuchaj, co tam pod strzechą, czy tam nic nie ma? Zawsze coś jest na wsi. Na wsiach są różne rzeczy, można znaleźć, poszukaj”. No poszukał. No a później wylądowałem na Malczewskiego. Oczywiście nikt się do niczego nie przyznał, nic nie znaleziono. Tak jak zawsze. Także tak byliśmy przygotowywani. Oczywiście...

Artur Kłus: Pamięta Pan dokładną datę tego aresztowania?

Mieszko Zieliński: Nie pamiętam. To jest kwiecień, maj? Maj, czerwiec? Maj, czerwiec 1982 rok. To jest to samo aresztowanie, czy inne jak w relacji z tej książki „Głową w mur”, jest o aresztowaniu Pana i brata w marcu 1982 roku. W marcu? To jest błąd. Mówię, To był taki upał, że... Nie ma dwóch aresztowań, blisko siebie? Nie, to jest jedno, to jest to. A ja nie wiedziałem, nie czytałem tego. Także w kwestii broni to to było. Jeśli chodzi o dostęp do materiałów? Tak... Broni nie znaleźli? Nie, nie. Nie znaleźli. To jest taki nieśmiertelnik, trzeba by odnaleźć w materiałach. Była sprawa, mój brat miał, ponieważ był w takiej organizacji „Wolna Polska”, WP, skrót tak jak Wojsko Polskie. Zrobili sobie takie nieśmiertelniki. Ja też dostałem, bo jakby z racji brata miałem do tej organizacji przynależeć. Zdaje się, że sprawa tej organizacji była w '79 roku, się skończyła, ale ta organizacja opierała się również na tym, na zbrojnych ewentualnych rozwiązaniach. Także ta broń gdzieś tam była. Była dobrze schowana, w razie potrzeby, żeby była.

Artur Kłus: Czyli tak naprawdę Pan swoją broń i brat miał broń?

Mieszko Zieliński: Powiedzmy sobie, że były jakieś takie magazyny. Tak, Mariusz nie żyje, Mariusz miał parabel-

kę, lubił z nią spać. Nie wiem dlaczego, ale wtedy akurat nie był. Ja uważałem, że musimy być na tyle sprawni, żeby umieć się posługiwać wszystkim. Kajdanki zdejmowałem w 30 sekund, nawet te z zabezpieczeniem. Zawsze miałem przy sobie szpilkę, spinę do włosów. Coś takiego, czym mógłbym się uwolnić, bo od momentu aresztowania, mnie zakłucia, w przypadku zwolnienia kajdanków i przy wysiadaniu nie wiem, czy któryś zomowiec, z zomowców miałby szansę, żeby mnie ruszyć, jeszcze tym bardziej jak byli tak poubierani. Dlatego to było praktyczne, tego się uczyliśmy. Takie mieliśmy szkolenie, tak żeśmy się ćwiczyli na Grenadierów, tak z Mariuszem nam to sprawiało zabawę i z chłopakami również. Dlatego miałem nunczako, jedno z najcięższych, jakie można było. To Niedek mi przekazał, ebonitowe, ciężkie, którym jeśli ja tym umiałem pracować, no to każdym innym spokojnie... Można było tak używać, żeby spuścić z nogi, rzucić i okręcała się na szyi. Wykręcała się na szyi. Ja z tym często chodziłem zresztą, bo się chodziło z plecakami wojskowymi, tak zwaną „kostką”, z czymś takim i zawsze na wyposażeniu można było to mieć. Oczywiście w przypadku rewizji było kiepsko, bo wiadomo było, że to służyło do walki z władzą ludową. Ale spinę, nunczako i wszelkie narzędzia, które mogły być przydatne w jakiegokolwiek konfrontacji albo służące do uwolnienia się, albo do pomocy komuś, no to takie się miało. Jakieś łuski znalazłem, ale myślę, że to gdzieś tam były po prostu w domu. Do obrony w Grupach Specjalnych RKW, w Grupach Specjalnych był robiony taki gaz. Takiego samego gazu, dokładnie taki sam, Piotrek Rzewuski użył na cmentarzu. I takie były robione. Nie wiem jak one były robione. Moim zdaniem przycisk to jest dezodorant Derby, który był z Węgier chyba sprowadzany, strasznie śmierdzący, taki słodki. No to jakąś taśmą przyklepione i żeby było, można było trafić, no to... Nie sprawdzałem co teraz z tego wyleci, ale... Zajmowaliśmy się ulotkowaniem, zajmowaliśmy się różnymi akcjami specjalnymi. Mariusz miał nożyce, takie wehrmachtowskie do cięcia zasieków, takiej długości rączki. Były bardzo przydatne, były przydatne do zdejmowania zabezpieczeń wejścia na dach, czyli do przecinania kłódek. Takie kłódki się przycinało przed akcją, dzień wcześniej i zakładało się swoje. Po to, żeby teoretycznie właz był zamknięty, a my żebyśmy mogli przyjść, mieć spokojne wejście i tylko my mieć klucz. Bardzo ścisłym współpracownikiem Grupy Grochowskiej, de facto również moim, bo był to mój brat cioteczny, mój i Mariusza, bardzo bliska rodzina, był Krzysiek Michalski. Krzysztof Michalski, pracownik z wód. On robił najlepsze petardy w Warszawie. Wtedy były olbrzymie opady śniegu, największe zasy sięgające pierwszego piętra. Znikały, jak wkładał tam petardy. W związku z czym Mariusz postanowił wykorzystać jego zdolności. Oczywiście to już było w ramach Grupy Grochowskiej, żeby wykorzystać jego zdolności i wiedzę pirotechniczną do stworzenia wyrzutników. Ponieważ były różne próby, ze sprężynami, to też się dowiedziałem po latach, z naciąganiem jakimś, nakręcane. Ale twórcą tych wyrzutników pirotechnicznych był Krzysiek Michalski, gdzie z Mariuszem i z Piotrkim Rzewuskim robili próby, gdzieś tam w lasach, wybuchów. Pierwsze, ponieważ Mariusz oczywiście lont gdzieś zdobywał i pierwsze wyrzutniki były na lont. W Grupie Grochowskiej było dwóch hydraulików: Tomek Karpiński i Janusz Pachniak, którzy mieli dostęp do rur PCV. Dużych rur o średnicy 100 chyba, gdzie się zabijało gwoździkami deskę na dole, później materiał ten wybuchowy, proch i do tego musiał być jakiś zapalnik. Najprostszym zapalnikiem, na to szła guma wpychana, na to ulotki. Najprostszym zapalnikiem był lont. Lont trzeba było odpalić czymś. Przed wojną zapałkę się dzielił na 4, a w PRL-u co czwarta odpalała. Także odpalić to zapałką to nie sposób. Trzeba było to papierosem, ale żeby papierosem, to trzeba było palić papierosy. A ja trenowałem i nie paliłem papierosów. Chłopaki ode mnie też nie palili. Musiałem zacząć palić papierosy przez te Grupy Specjalne. Zacząłem palić papierosy, okropne, śmierdzące, to trzeba podtrzymywać. Przy Barbakanie, jak się stawiało w 1983 roku, to to te „Sporty”, to wszystko, to było okropne. Trzeba było tak przytrzymać przy tym loncie, żeby on załapał, bo on nie chciał załapać od początku. To nie było takie oczywiste – się dotyka, pyk, stawia się. Nie, trzeba było poczekać, aż on zacznie się palić.

Mało tego, nawet wyczekać czy nie zgaśnie po drodze, bo nie wraca się później do postawionego wyrzutnika, odpalonego, bo nie wiadomo kiedy on eksploduje i wtedy nas zgarną, jeśli dostaniemy w twarz czymś takim. Także trzeba było nawet trochę poczekać. Taka zabawa, jak długo się wyczeka, ile zostanie, żeby odstawić. Stawiało się oczywiście w śmietnikach. Z prostej przyczyny jeśli ktoś odpala teraz petardy na Nowy Rok, to wie, że wstawia się w butelki czy w coś. Po to, żeby skierować ten strumień wybuchu do góry, bo jak pójdzie do góry, to najszerszej, najwięcej będzie. I tak te pierwsze wyrzutniki były odpalane. Były odpalane za pomocą papierosa. To były zapalniki lontowe. 1983 rok? Tak, tak mi się wydaje, że ta końcówka 1982. 1983. To była zima, na Barbakanie. Ilona Rzewuska była z dzieckiem w wózku, mój bratanek był mały, w wózku. Panie były, żony były obserwatorami, czy wszystko jest w porządku? Także myślę, że były pełnoprawnymi członkiniami Grupy Grochowskiej, bo to się działo też tak rodzinie. Gdzie później się kończyło wieczornym omawianiem, wiadomo, dokonań i w składzie, czy takim samym. Z czasem... Aha, i jeszcze bardzo ważną osobą jest Grabowski, Andrzej Grabowski, który był przyjacielem mojego brata, a z moim tatą chodził do szkoły podstawowej, przed wojną. Taka różnica między nimi była wieku, natomiast zamiłowanie do historii, był najmłodszym Powstańcem Warszawskim. Został ranny przy barykadzie tramwaju na ulicy Marszałkowskiej, bo bardzo chciał tą korbę od tramwaju w czasie Powstania zdobyć. Andrzej Grabowski był również w kręgu osób, które obsługiwały broń. Poza tym był elektronikiem i on był twórcą opóźniaczy elektronicznych, ponieważ zdarzało się, że ten lont potrafi się szybko spalić i ten wybuch następował. Chyba Tomkowi Karpińskiemu w bramie odpalali i ten lont natychmiast się spalił i to wywaliło. Mówił, że był głuchy, chodził. Nie wiedział. Gdyby to się stało na ulicy, byłby łatwym celem. W związku z czym trzeba było znaleźć elektroniczne rozwiązanie i to elektroniczne rozwiązanie to są zapalniki. Żaróweczki, które się tłukło szkło i ten żarnik, który dostał prąd z baterii, z płaskiej baterii powodował eksplozję. Zapłon i eksplozję. Także to jest zapas zapalników z tamtych lat do opóźniaczy. Wyrzutniki z opóźniaczami stosowałem później bardzo często, gdzie na potrzeby filmu „Polska 1985. Życie w prawdzie”... To jest fotografia wyrzutnika spod Składnicy Harcerskiej na ulicy Marszałkowskiej. Dowiedziałem się od Mariusza, że moja grupa będzie wykonywała akcje pokazowe na potrzeby filmu dokumentalnego, który ma trafić na Zachód, na temat sytuacji w Polsce. Moja Grupa, Mieszka Zielińskiego, ma to wykonać, a Grupa Grochowska ma obstawiać nas. Zналиśmy się, współpracowaliśmy, także... Miałem duże obawy co do tej akcji, to był rok 1984. Rok 1984, 25 października. Teraz sobie przypomniałem, jak pan podał datę, który jest dzisiaj. Zaczęliśmy iść od Placu Konstytucji. Kamera była po stronie, tam gdzie Hortex, na przeciwko kwaciarni. Gdzieś tam, nie wiedziałem gdzie, pierwszy wyrzutnik stawiałem. To była jednocześnie lekcja pokazowa dla nowo przyjętego do mnie człowieka, ale więcej z niego nie korzystałem. Przy ulicy, zupełnie niezależnie, to była pokazowa dla niego, jak to należy robić, ale z daleka od ludzi, bliżej ulicy Wilczej. Czyli wyjmuję, włączam, przetaczam, zwalnam opóźniacz, stawiam do śmietnika i odchodzimy nie nachylając się. No i niestety ten wyrzutnik nie wypalił. Nie wystrzelił, w związku z czym nie wracamy, nie zaglądamy. Choć ten młody kolega, o rok młodszy ode mnie, chciał koniecznie sprawdzić, co tam jest. Mówię: „nie, nie sprawdzamy”. Natychmiast magazyn podał mi drugi, czyli człowiek z dużą torbą. Dostałem następny wyrzutnik, który postawiłem pod kwaciarnią. Powiem tak, tego się nie robi, ponieważ było duże zagrożenie, ponieważ tam pod kwaciarnią stały też kwaciarki z kwiatami, no bo w sklepie pewnie nic nie było, w związku z czym ten wyrzutnik tam postawiłem, w bardzo widocznym miejscu, żeby z daleka było dobrze widoczne, żeby dobrze sfilmować. Pod ścianą, jakoś tak. I ten wyrzutnik świetnie został sfilmowany. Jest w filmie „Polska 85. Życie w prawdzie”. To był film Marcela Łozińskiego. Zdjęcia Jacek Petrycki. Dowiedziałem się o tym 25 lat później. Nie wiedziałem, kto to robi. Myślałem, że to robią, nie wiem, Francuzi, Anglicy. nie, że ekipa polska. Do tego stopnia, że brat mi tego też

nie powiedział, pomimo że on... Tak wyglądały rodzinne też konspiracje, że on wiedział kto, natomiast ja pytałem, czy na pewno jestem bezpieczny i moi ludzie. Cały ciąg szedł od ulicy, od Placu Konstytucji poprzez ulicę Hożą, gdzie też na zdjęciach są, później Składnicę Harcerską. Stawialiśmy te wyrzutniki jeden za drugim po to, żeby można było powtórzyć sfilmowanie tego, gdyby to się nie udało. Również akcje „z ręki”. Też weszła do tego filmu akcja „z ręki”. Tam Robert Łukaszewski rzucał z ręki. Dostałem informację, to już było przy ulicy Królewskiej, czyli cały ten ciąg wszystkich domów żeśmy przeszli ulicą Marszałkowską, dostałem informację, że tam niestety stał facet z lustrem i zasłonił. I żeby powtórzyć w tym miejscu, bo tam już jest kamera. Powiedziałem: „nie, nie, tak się nie robi. Nie powtarzamy w tym samym miejscu”. Powiedziałem do Mariusza, mówię: „słuchaj, albo ktoś chce nas wystawić, ale ja tego nie zrobię. Ja mogę rzucić jeszcze raz, ale w zupełnie innym miejscu”. Relacje między braćmi a jednak te zasady jakby konspiracji musiały być bardzo ważne i ja nie odpuszczałem. W międzyczasie oczywiście jeszcze były inne prace, czyli te tematy dokumentacyjne, robienia zdjęć manifestacji, dokumentowania naszych wydarzeń. Był przydatny później jako prace zarobkowe, czyli wyszły kalendarze ze zdjęciami, które były sprzedawane. I generalnie te zdjęcia były też kolportowane do tego, czyli też zarabiał na ten papier, na druk. Wracając jeszcze do tego wydarzenia 24 października. 25, to jest jeden dzień, 1984 roku. Rozumiem, że dalsze wyrzutnie, już dalsza, że tak powiem, dalsze działanie było sukcesem, te wyrzutnie już działały, kolejne? Tak, oczywiście. Ten pierwszy nie wypalił, pozostałe działały. Co jakiś czas były jakieś przypadki, że coś było nie tak. No cóż, Krzysiek Michalski miał chyba Komunię swojej córki, w związku z czym podjęcia tych wyrzutników podjęliśmy się w 1985 roku z Mariuszem, w domu i robiliśmy to na Grenadierów właśnie, pod tym adresem. Była godzina policyjna, musiała być, milicyjna. No i niestety już ostatni wyrzutnik, zostawiam Mariusza, zostawiam go, mówię: „to słuchaj, ja już muszę jechać”, bo ja mieszkalem z rodzicami róg Wilczej i Marszałkowskiej. Zszedłem tylko pół piętra. Tak huknęło, że szyby niemalże powypadały. Godzina 22:00. Wystrzelił wyrzutnik. On się nachylał, dobijał dolną część. Widać szkiełko zadziało, zwarcie było i on mu wystrzelił w twarz. Ja natychmiast wróciłem oczywiście. Został powiadomiony Jędrus, jego mama była położną w szpitalu. Żona, Daga przyłożyła ręcznik mu do twarzy, żeby gasić ładunek wybuchowy na twarzy. To jest ten ręcznik, ten. Oczywiście trzeba było to wszystko zlikwidować. Także ja z ręcznikiem i z rzeczami wszystkimi, jakiś samochód, jego do szpitala. On nic nie widział. Był jedynym męskim pacjentem na oddziale położniczym. Po dwóch dniach musieli go przenieść, bo panowie przychodzili, się dowiadywali. Likwidowaliśmy to tak, jak można było. No trudno, rzecz się stała. Piecyk gazowy wybuchł, sąsiedzi wiedzieli, że piecyk gazowy, ponieważ w mieszkaniach były piecyki gazowe. Piecyk gazowy wybuchł i tak, i tak to się zdarzało. Mariusz później musiał się ukrywać. Był długi czas w Łaskach, stracił 80 proc. wzroku. Operacje plastyczne na twarzy, bo ten proch poprzehierał się w dziurki jakieś tam, w skórę. Także jakaś silikonowa maska była nakładana. Musiałem zająć się później tą Grupą Grochowską, jakby wspólnie działaliśmy. Myślę, że byliśmy sprawni dlatego, że u mnie wszyscy działali do końca, do 1989 roku. W Grupie Grochowskiej już mniej, słabiej. U „Waldeczków” też część już studentów pokończyła, wyjechała z Warszawy. Cóż, robiliśmy jeszcze inne prace, trzeba było wykonywać w międzyczasie. Były składalnie, powstał Rytm. Co by nie było, był założony przez Teosia, Bolka Jabłońskiego, no i Kotarskiego. Po to, żeby finansować nasze akcje, które musiały być kosztowne. Robiliśmy książki, od początku do końca, czyli od zbierania karteczek, składania ich w zeszyty, zszywania, oprawiania w okładki. To są przyrzędy, moje dzieci chciały wyrzucić, bardzo ważne, służące do bigowania. Nawet jest to na zdjęciu, jak ja tego używam i jak tym pracuję. Składalnia była również na ulicy Grenadierów u mnie w mieszkaniu. Już ja tam mieszkalem i Mariusz, który z ramienia Rytmu też przyjeżdżał i kontrolował. To służyło do bigowania. Nacinało się okładkę i zaginał później, żeby łatwiej można było ją dopasować do zeszytów,

które były w środku. Oczywiście bardzo ważną sprawą był pogrzeb księdza Jerzego, w którym wszyscy uczestniczyli, a my bardzo, ponieważ było to tak ważne miejsce. To jest smutne wydarzenie, ale jeden z moich chłopaków... Musieliśmy się podzielić, miał fotografować. My mieliśmy akcję, na dachu byliśmy, mieliśmy ulotki, byliśmy między ludźmi. Trudne wydarzenie, bo były pomysły, żeby być w jakichś służbach ochrony, ale tam nie, bo zbyt duże ryzyko. Były odpowiednie służby kościelne, które pilnowały. Także chłopaki ode mnie, Jurek Szymański spędził całą noc na dachu, wykonując takie zdjęcia właśnie z dachu. To jest też z pogrzebu, sprzed kościoła. W związku z czym zdokumentować cały czas napływanie ludzi jak wielki tłum. Chodziło o to, żeby pokazać, jak wielki tłum ludzi był, żeby ludzie też to widzieli, żeby nie było tego, co mogą w dzienniku obejrzeć czy gdzieś w tej telewizji, że niewielkie wydarzenie. My mieliśmy to zdokumentować, żeby pokazać prawdziwą skalę. Sypaliśmy ulotki, przeróżne. Takie, takie. Urban Oczywiście. Ale te ulotki, które rzucaliśmy, bardzo lubiłem rzucać z ręki, dlatego, że to był bezpośredni kontakt z otoczeniem, nie powiem, dawało, bardzo to pobudzało adrenalinę, dlatego że oczywiście pierwszy raz mógł być trudny i był, a później uwielbialiśmy i chłopaki moje uwielbiali. Uwielbiali „sypać z ręki”, dlatego, że o tyle, o ile wyrzutnik można postawić i odejść, oczywiście obserwować co się z nim dzieje, to „sypać z ręki” trzeba było między ludźmi. Dlatego, że trzeba było oczywiście przygotować i tak samo jak w przypadku tego magazynu wielkiej torby, czarnej torby z wyrzutnikami, tak samo tutaj był magazyn rolek przygotowanych, ponieważ ulotki dziesiątki, setki, trzeba było je przede wszystkim po cięciu, a cięło się na gilotynach takim nożem, który był mocowany w wielu punktach i był ostrzony. Był od strony na ulicy Wilczej, nie pamiętam w tej chwili numeru. Bolek Jabłoński też pamiętam, był ostrzony, dlatego to było ważne ostrzenie, że po takim cięciu nóż zostawiał ślady jeśli były jakieś wgłębienia, jeśli była książka robiona czy coś, to wtedy proszę bardzo, to jest dowód w sprawie, bo tym nożem, to są te rysy, które zostawały na książce, na grzbiecie książki ślady. I to był dowód, że ta gilotyna mi nie służyła do obcinania, do przycinania zdjęć w domu gdyby ktoś znalazł, tylko do robienia tamtych książek. Dlatego ważne było bardzo dobre ostrzenie i gładkie przygotowanie noża. Ale powracając do ulotek, trzeba było je rozłożyć. Najpierw tak wygnieść, żeby miejsca, gdzie nóż pracował, żeby je roztrzepać, żeby były luźne. Bo każda ulotka była cenna. Nie można sobie pozwolić rzucić tych ulotek tak, żeby one spadły. One musiały się rozsypać, żeby jak największa ilość osób mogła je wziąć, dostać pojedyncze egzemplarze. Dlatego trzeba było je tak rozwachlować, rozłożyć, zwinąć w rulony i taki zwinięty rulon... No, nie można było tego robić na mieście, prawda, trzeba było wziąć taki pasek jak do papieru, jak do banknotów, skleić i takich rulonów mieć 20, 30 przynajmniej. No bo to, jak się szło na to, żeby to się zsuwało ten rulon. Trzymało się w ręku i wtedy, kiedy była odpowiednia chwila, sypało się. Tylko trzeba było to mocno wyrzucić do góry. Trudny jest ten pierwszy moment dla kogoś, kto to pierwszy raz próbuje, bo myśli, że wszyscy na niego patrzą. A to nieprawda, dlatego, że te ulotki w tym rejonie leciały do góry. One, je słysząc było dopiero jak się rozsypywały i wszyscy patrzyli do góry. Tego był efekt taki, że wszyscy patrzyli do góry, skąd te ulotki? Zdarzyło się paru takich ambitnych UB-eków. Ode mnie Leszek Popiołek sypał na Nowym Świecie. No bo szliśmy oczywiście głównymi tam, gdzie były największe tłumy na przystankach autobusowych, tam gdzie bramy były przejściowe i ulicą Kubusia Puchatka można było przejść dalej i wyjść z drugiej strony. No i tam się znalazł taki ambitny. Leszek Popiołek nigdy nie był dużym facetem. Natomiast tak jak mówię, w jego przypadku to on kung-fu trenował, tak jak Jurek Szymański. Ja karate, Zbyszek Turzyński też, Marek Starzyński. Mówię, cała grupa była sprawna, ale Leszek był z nas najmniejszy, najdrobniejszy. No i uparł się taki gość za nim pójść. W związku z czym poszliśmy również i my. Obyło się bez bicia. Zrezygnował, zrezygnował, ale my bardzo konkretnie ześmy rozmawiali i nie miał żadnych wątpliwości. Także to tak. Natomiast sposobów było jeszcze więcej. Oczywiście jak się jechało, jak były

lkarusy, jak były przegubowce, jak się podniosło na górze, nie szyberdach, lufcik taki, tam się położyło. Ten wiatr rozwiewał. Sposobów „na sikorkę” oczywiście, zimą jak najbardziej. Przechodzimy już do przewieszek. Przewieszki były stosowane z dachów. To o czym mówiłem, do tego były przydatne nożyce Mariusza, wermachtowskie, które cięły wszystkie kłódki jakie były, w związku z czym można było wejść na dach i mocować. Tak samo jak podchorążówka wieszła transparent przy Hożej czy tam od Frydrycha na Świętokrzyskiej transparenty. No tak się wchodziło na dachy. Oczywiście uwielbiane były dachy ulica Marszałkowska i MDM generalnie dlatego, że miały balustrady na górze, za którymi się można było schować, do których można było przyczepić sznurek. To były idealne miejsca. Tam się wieszało przewieszki. Sposobem oczywiście takim starszym. To był ten sposób, że można było po prostu to wszystko położyć, polać wodą, zejść sobie spokojnie. Wiatr to rozwiał i samo zalatywało i nikt nie wiedział gdzie kto jest. No ale to nie ma, nie ma zabawy. Najlepsze były z ręki, najfajniejsze. Niestety przez te wyrzutniki, których parę razy się one odpaliły i to było, to było niebezpieczne, tak. A jeszcze jeżeli chodzi o to ulotkowanie z dachów.

Artur Kłus: Spotkał się Pan z jakimiś reakcjami przechodniów, mieszkańców? Jak oni do tego się ustosunkowywali?

Mieszko Zieliński: Nie. Natomiast jak stawialiśmy „gadałę” na Rutkowskiego, obecnie Chmielna. Razem z Grupą Grochowską, Tomek Karpiński stawiał jako hydraulik i obyty w pierwszym kontakcie, bo stawia się o 16 godzinie, gdzie są ludzie, gdzie są tłumy. Stawialiśmy na daszku. Oczywiście ekipa w fartuchach, drabina, no bo robotnik wzbudza zaufanie. Nie wzbudza podejrzania. Niesie duży pojemnik, dużą skrzynię. No i tam: „a co Wy tam tu stawiacie?”. „Dach remontuje”. „A to dobrze, bo tam jeszcze rynna, jeszcze tam trzeba”. „Dobrze, poprawimy”. I ważne było, żeby nie dać się zbić z pantafyku, żeby właśnie tak jak Tomek, fantastycznie potrafił jeszcze dowcipnie odpowiedzieć i wszystko było ok. Mieliśmy obstawę, mieliśmy wszystko. Później się okazuje, że mamy odejść. My odchodzimy jako obstawa, idziemy w uliczkę obok. Okazuje się, że Maluch nie odpala, trzeba go na pych odpalić. Fantastyczna obstawa była wtedy, ale wszystko się powiodło jakby dobrze. Pamiętam też stawianie „gadały” na saturatorach. No to z Grupą Grochowską. Ledwo to wstawili, ten wielki kłopot na te saturator, przy Domach Centrum. Pamiętam również akcję wyjazdową na Żerań, przed główną bramą FSO. Kazik Hałat, Pachniak, to jest Grupa Grochowska. I to były te na lonty wyrzutniki. Jeszcze było sypanie z transparentów, tak? Sypanie transparentów, tak, oczywiście. To u Frydrycha, on to dokumentował dobrze. Te wszystkie transparenty, te zdjęcia, które są, a to są lata 88/87, to są późne. Natomiast ja zostałem wytypowany przez kierownictwo Grup, kto by to nie był, nie wiem. Ja byłem przygotowywany do różnych akcji. Różnych akcji i tych radykalnych i ... Powiem szczerze, jest to przełomowy moment. Ja teraz mogę o tym mówić. Wcześniej nie mówiłem, bo po prostu nie miałem zaufania, jeszcze 10 lat temu. Miałem składać wieniec z materiałem wybuchowym pod pomnikiem utrwalczy władzy ludowej. To był pomysł mojego brata oczywiście. Ja mu powiedziałem: „stary, ja nie byłem nigdy w harcerstwie. Moje harcerstwo to są Grupy, ulica, na Pradze wychowany tutaj”. „Dobrze, dobrze, założysz ten, to będziemy składać kwiaty”. Nie ma już tego obeliska. Miał być podłożony tam, miała być odstrzelona noga. Gdzie to, w którym miejscu? Naprzeciwko Parku Saskiego, Tam na tyłku. Miał być odstrzelona, czyli ładunek założony albo odstrzelona noga Dzierżyńskiemu, na wzór Lenina z Hutyl i to już jakby ta broń miała być. Tylko kwestia czy tak dużą nogę, żeby on się przewrócił – uda się, czy się nie uda? No, ale już jesteśmy w tym miejscu, czyli Plac Bankowy, a wtedy Plac Dzierżyńskiego, zostałem ja wytypowany, do tego dokooptował Tomek Karpiński jako chyba dwaj najbardziej wysportowani ludzie w Grupach. On judo, a jakoś tak... W związku z czym

my mieliśmy transportować olbrzymi transparent i kilkadziesiąt tysięcy ulotek. No, trzeba zważyć kilkadziesiąt tysięcy ulotek ile to waży, żeby wiedzieć, co to miało być. Ba, kilkanaście metrów materiału. I to wnieść na górę, na wiecznie niedokończony wtedy ten, obecnie błękitny wieżowiec, wtedy był pomarańczowy. Nie wiem czy były jakieś szyby, które miały promienie słoneczne przepuszczać. W związku z czym my trenowaliśmy. Wybrałem budynki za Żelazną Bramą, tam Grzybowska, ponieważ miały najwyższe budynki. Szukałem takich do 14 pięter, żeby wbiegać i wbiegać, wbiegać i wbiegać, ponieważ my musieliśmy z tym wbiec na górę, zawiesić, zbiec i odejść. Ten transparent miał się rozwinąć, miał wysypać ulotki. Tak jak wszyscy do pracy jadą, 7:15 na placu Dzierżyńskiego wtedy, no to wielkie Centrum. Trenowaliśmy, przygotowywaliśmy się do tego. Jak wbiegałem, marzyłem o zbieganiu. Jak zbiegałem, myślę sobie może jednak zaraz będę wbiegał. Stawy były poprzeczane, ale ćwiczyliśmy. Doszło tam chyba do 4 razy „tam i z powrotem”. Proszę spróbować, każdy może. Nie doszło do tego. Jak się później, po latach okazało, śmiejemy się, to tam schodów nie było w ogóle do 2 piętra. Znaczący, ten cieć, dozorca miał być upity, miała być libacja, już były przygotowania jakieś. I my wtedy wchodzimy sobie, nawet jak on będzie upijany. Czekamy do rana, czy jakoś tak. Ale generalnie chodziło o to, żeby wbiec szybko. Jeśli ktoś, będzie się działo, wbiec, zainstalować i uciekać. Później się dowiedzieliśmy, że to chyba tam nie było do 2 piętra schodów. Także wszystkie nasze przygotowania do niczego by nie doszło. Który to był rok? 1984, 1985? Nie później, bo wszystkie te mocne rzeczy były w tamtych latach przygotowywane, bo wszyscy chcieli walczyć, w sensie teoretycznym i dosłownym.

